



Recenzja podręcznika

Książka Wojciecha Roszkowskiego *Historia i teraźniejszość 1945–1979* liczy 512 stron. Opublikował ją w 2022 r. Biały Kruk, ulubione, jak pisze Autor, wydawnictwo Jana Pawła II. Praca poświęcona została różnym aspektom historii. Na sygnalizowaną w tytule teraźniejszość zapewne znajdzie się miejsce w zapowiadany tomie drugim. Tu reprezentują ją zdjęcia współczesnych polityków, umieszczone w miejscach nieodpowiadających czasom ich politycznej aktywności. Najwięcej uwagi poświęcono stosunkom międzynarodowym i wydarzeniom politycznym. Poziom nawet interesującej narracji obniża upodobanie Autora do wprowadzania stronicznych komentarzy o charakterze religijnym, antyeuropejskim, antyunijnym i antyniemieckim. Najbardziej obciążają one części poświęcone kulturze, filozofii, religii i innym naukom społecznym. Czytelnik poszukujący rzeczowej informacji jest w ten sposób zmuszony do zapoznania się z subiektywnymi poglądami Autora.

Uciążliwość tej metody warto zilustrować paroma przykładami. Roszkowski pisze, że rewolucja seksualna z lat 60. podkopała fundamenty życia rodzinnego. Zaczęto tworzyć dowolne grupy ludzi, czasem tej samej płci, którzy będą „przywozić dzieci na świat w oderwaniu od naturalnego związku mężczyzny i kobiety, najchętniej w laboratorium... Skłania to do postawienia zasadniczego pytania: kto będzie kochał wyprodukowane w ten sposób dzieci” (s. 226). To chyba najbardziej kompromitująca Autora część tej książki. Uwagi krytyczne kierowane są przez niego głównie pod adresem lewicy, która jawi się tu jako uosobienie zła i zepsucia obyczajowego.

Wiele miejsca zajmuje krytyka dominujących ideologii, do których zaliczono socjalizm, komunizm, liberalizm, feminizm, gender i chadecję. Roszkowski korzysta przy tym z okazji do wyłożenia własnych poglądów na temat Boga. Wcielając się w katechetę, pisze, że każdy może Go szukać na swój sposób, jednak to, że Bóg szuka człowieka, że przemówił doń w postaci Jezusa Chrystusa, przekracza – jego zdaniem – zupełnie horyzont myślowy współczesnych racjonalistów (s. 331).

Wspominając o problemach rasowych w USA, Autor niespodziewanie wtrąca tekst broniący polskich księży, pisząc: „żąda się, by traktować księży bez szczególnych przywilejów, jak każdego innego obywatela. Zgoda, ale to nie może oznaczać przyzwolenia... bezkarnego poniżania księży” (s. 341). Parę wierszy dalej znajdziemy odniesienie do Listu św. Pawła do Rzymian. Wszystko w porządku, tylko co to ma wspólnego z problemami rasowymi w USA?

Rozważania na temat nacjonalizmu kończą się konkluzją krytyczną dla tej ideologii, zwłaszcza w wydaniu niemieckim. Nacjonalizm polski jest natomiast dobry, bo bliski patriotyzmowi.

Unii Europejskiej Autor zarzuca, że „nie posiada wspólnoty historycznej niezbędnej do zgodnego i sprawnego funkcjonowania planowanej federacji. Nie istnieje też wspólnota językowa. Bardzo różne są tradycje i obyczaje w krajach członkowskich. Różne są też religie, co usiłuje się już niwelować poprzez lansowanie ateizmu i wcielanie go w życie nawet metodami urzędowo-administracyjnymi. Przekształcenie tych 27 państw w jeden organizm może nastąpić tylko pod wpływem siły” (s. 60). Pomijając coś tak oczywistego, jak wielowiekowe związki Polski i innych państw Europy Środkowej z resztą Europy, chciałoby się przypomnieć, że wspólnego języka, tradycji, obyczaju i religii nie miała przecież Rzeczpospolita, która, jak twierdzi Autor, od roku 1386 do 1696 była mocarstwem.

Przypomnijmy, że przez wieki dla warstw oświeconych Europy Zachodniej i Środkowej wspólnym językiem była łacina, podobnie jak dzisiaj język angielski. Co prawda oficjalne dokumenty są dzisiaj pisane w językach narodowych, ale podobnie było w Rzeczypospolitej: np. Statut Wielkiego Księstwa Litewskiego był napisany alfabetem słowiańskim w języku ruskim. Można też mieć poważne wątpliwości, czy Jan Chryzostom Pasek mógł się po łacinie porozumieć z Kozakiem... I to nie przeszkadzało w zorganizowaniu potężnego mocarstwa.

Przechodząc do spraw polskich, Autor wykorzystuje bardzo nośne propagandowo stereotypy do określenia stanowiska państw zachodnich wobec Polski we wrześniu 1939 r. Wysuwając zarzut, że Francja i Wielka Brytania nie przyszły Polsce z pomocą, nie wspomina, że wypowiedziały Niemcom wojnę 3 września. Po wojnie zaś, jego zdaniem, Polska nie odzyskała niepodległości „w obliczu zdrady zachodnich sojuszników”. Szkoda, że nie wskazano, jakie mogły zostać podjęte skuteczne działania ratujące Polskę w obydwu tych przypadkach. Wreszcie Autor pisze: „rządy zachodnie mimo ujawnionych i oczywistych zbrodni komunistycznych nie chciały pójść na pełną konfrontację z ZSRR”. To można zrozumieć już tylko w jeden sposób: Stany Zjednoczone powinny, zdaniem Autora, wypowiedzieć Związkowi Sowieckiemu wojnę, najlepiej z użyciem broni atomowej!

Antyniemieckie nastawienie powraca na kartach tej książki. Roszkowski pisze: „Niemcy zostały co prawda pokonane, zniszczone i podzielone, jednak zachowały wiele z zagrabionych ruchomości wywiezionych podczas wojny. Mocarstwem w tym czasie nie były, ale miały z czego się odbudowywać” (s. 99). Jest to stwierdzenie nośne propagandowo, ale niezgodne z prawdą. Błędnie przedstawia też Autor kwestie dotyczące reparacji. Podkreśla, że Polska nie otrzymała od Niemiec żadnej rekompensaty za straszliwe zniszczenia. „Dopiero teraz trwają w Polsce skomplikowane

► badania nad rozmiarami należnej Polsce rekompensaty". Pomija fakt, że sprawa niemieckich reparacji została już zamknięta w stosunkach między państwami (akty z 1945, 1953 i 2004 r.). Nadto pozostaje pytanie, czy kiedykolwiek podjęto „skomplikowane badania” nad odszkodowaniami należnymi nam od Związku Sowieckiego za aneksję znacznej części terytorium, utracone tam mienie osób prywatnych oraz za część niemieckich reparacji należnych Polsce z puli sowieckiej*.

Rolą podręcznika jest przekazanie rzetelnej wiedzy, a nie wpajanie niechęci do ludzi i ich poglądów, Unii Europejskiej czy innych państw, w tym sojuszników Polski. Komentarze autorskie powinna cechować bezstronność, aby ułatwiać zrozumienie prezentowanych procesów. Wojciech Roszkowski ma prawo do wyrażania swoich poglądów i publikowania ich, ale uznanie tej książki przez ministerialnych rzeczoznawców za podręcznik jest decyzją niezrozumiałą i na pewno szkodliwą. Warunkom stawianym podręcznikom omawiana książka nie spełnia.

ANDRZEJ KASTORY

Wieloletni przewodniczący Komisji PAU
do Oceny Podręczników Szkolnych

* W Poczdamie uzgodniono, że polskie roszczenia reparacyjne zaspokojone zostaną z puli należnej Związkowi Sowieckiemu. Ten zaś miał je czerpać głównie ze swojej strefy. Otóż Polska tych reparacji od Rosjan nigdy nie uzyskała.

Odra

Na fatalny temat skażenia Odry napisano bardzo wiele. Najmniej konkretnie (i – chyba? – najmniej rozsądnie) pisali politycy i administratorzy, a najsensowniej ci, którzy na bieg wydarzeń i możliwą akcję mieli i mają wpływ najmniejszy – przyrodnicy. Nie chciałbym pochyłać się nad wyjaśnieniami i komentarzami tych pierwszych z wielu powodów. Zrobiono to już zresztą. Pochylę się (ale bez wymieniania nazwisk i bez cytowań) nad refleksjami tych drugich.

Pierwszy wątek to uwagi metodyczne. Casus Odry odsonił – jakże boleśnie i właściwie tragicznie w szerszym kontekście – nasze (tu przyrodnicy polscy i niemieccy w jednym stoją domu) przyrodnicze *ignoramus* metodyczne. Napisano, że casus Odry to sprawa skomplikowana i niejednoznaczna. I tak jest – to prawda. Niemniej podobnych przykładów przyrodniczych spraw skomplikowanych i niejednoznacznych mamy w świecie pod dostatkiem: eutrofizacja wód lądowych; skrajności w występowaniu i znikaniu wody słodkiej; skrajności temperaturowe & klimatyczne, i związane z tym pożary; wymieranie raf koralowych; zakwaszenie wód oceanicznych; wahania stężeń gazów w atmosferze i oceanach; i dużo, naprawdę dużo innych niepokojących zjawisk.

W tych wszystkich przypadkach pierwszym wyzwaniem jest diagnoza w odpowiedniej skali. Wielkie zjawiska dzieją się w przestrzeni, czasie i gradientach. Te ostatnie to strefy buforowe – lub przeciwnie, „zjawiska cynglowe”, natychmiastowe. Trzeba to wszystko zidentyfikować i zmapować, zanim kryzys nastąpi. A więc istotne są tzw. badania podstawowe. Bowiem jeśli się zacznie mapowanie za

późno, to szanse uchwycenia istniejącego skomplikowania są niewielkie, i maleją w czasie. Oprócz prowadzenia badań podstawowych, i to w odpowiednim czasie (nie kiedyś „potem”, kiedy „będziemy już wszystko wiedzieć”), konieczna jest sieć odpowiednio rozmieszczonych stacji pomiarowych, które będą, po pierwsze, regularnie monitorować i oceniać odchylenia od norm (i jakich norm? to powinny doprecyzować badania podstawowe), i po drugie, wiedzieć, co robić w razie kryzysu. Te stacje muszą mieć odpowiedni sprzęt i ludzi, nie na wakacjach w terenie, ale raczej jakby żołnierzy i strażaków na posterunkach. I tu drugie *ignoramus*. Jakoś, w odbiorze politycznym i nawet społecznym, stacje monitorujące są drastycznie „mniej ważne” niż podobne żołnierzy i strażaków. A żyjemy, niestety, w czasach, w których te kwiatki do kożucha stały się złem koniecznym, by przeżyć.

I trzecie *ignoramus*. Po postawieniu lepszej lub gorszej diagnozy, ale w czasie już istniejącego kryzysu, my przyrodnicy jesteśmy krótkcy w naszych propozycjach planu. Co zrobić? Wiadomo, że jest fatalnie. Jak wybrnąć? Czego zakazać, a co nakazać w istniejących warunkach? Na nasz rozkaz przemysł się nie zatrzyma. Politycy nas nie posłuchają. Pieniądzy nie dostaniemy. Co pozostaje? Aawaz? Myślę, że niezbędna jest skoordynowana akcja medialna pod kierunkiem naszych największych autorytetów. Nie chcę tutaj pisać o własnej wizji takiego planu. Byłoby to bezsensowne. Wierzę jednak, że taki plan może powstać pod piórem polskich przyrodników (we współpracy z przyrodnikami niemieckimi w przypadku Odry). Powinien już być na pierwszych stronach gazet i periodyków*.

MAREK R. LIPIŃSKI

Rhodes University, Republika Południowej Afryki

* Jest, bardzo potrzebny, Komunikat 07/2022 Polskiej Akademii Nauk z dnia 12 września 2022. Jest to bardzo ogólna diagnoza i postulat raczej niż plan działania – co słuszne i obecnie jedyne możliwe (za wcześniej na podanie modeli i analizy bio-matematycznej tego co się stało, i jasne planowanie & prognozowanie). Jednak powtarzam – komunikat ten powinien się NATYCHMIAST pojawić w całości na pierwszych stronach gazet i periodyków, które będą miały odwagę go wydrukować. Jest to w dobrze pojętym interesie publicznym.

Raport PAN

Katastrofa na Odrze – geneza, teraźniejszość, zalecenia na przyszłość - [link](#)

Próba wyjaśnienia

Mój zeszyt tygodniowy felieton o ewaluacji nauki wywołał szybką reakcję. Jeden z czytelników zakwestionował zdanie:

Chociaż zawsze uciążliwa i niedoskonała, ewaluacja jest NIEZBĘDNA, jeżeli chcemy uniknąć sytuacji, gdy urzędnicy ministerstwa (lub sam minister) będą przyznawali uczelniom środki w sposób zupełnie arbitralny, „po uważaniu”.

Powolał się przy tym na sytuację sprzed lat, gdy nie potrzebna była żadna „ewaluacja”, bo wszystko opierało się na opinii uznanych autorytetów, których zdanie było decydujące. Cytuję fragmenty:

[...] Pamiętam dobrze wcześniejsze procedury, kiedy odpowiedzialni i szanowani przez środowisko uczeni swoim autorytetem sankcjonowali kolejne etapy promocji naukowej [...] – mój śp. prof. [...] swe recenzje doktorskie pisał na jednej stronie i nie to było ważne, co napisał, ale że to ON swoim autorytetem pozytywnie ocenił czyjś dorobek.

Obecne procedury ewaluacyjne całkowicie wyeliminowały autorytety – a dotychczas odgrywały one w kulturze i nauce decydującą, formującą myślenie i zachowania rolę – w ich miejsce pojawiły się anonimowe cyferki! Ta anonimowość = zobiektywizowanie jest często pozorna w przypadku małych środowisk, gdzie i tak często wiadomo „kto? komu? co?” napisał, więc się ludzie „pilnują”,

Złudzeniem jest to, że zastąpienie ocen jakościowych ilościowymi zobiektywizuje procedury – istnieje duża literatura filozoficzno-metodologiczna na temat redukcji qualitas do quantitas – rozwój nauk przyrodniczych – taka jest ich wewnętrzna logika – usiłuje cały świat i wszystkie zjawiska opisywać za pomocą tych drugich – w humanistyce bilans zysków i strat jest znany, chociażby przy opisie zjawisk psychicznych, / np. miłości bliźniego / ! [...]

Nie jest prawdą, że urzędnicy zostali wyeliminowani, co więcej, niepomiarnie wzrosła ich rola (i anonimowość).

Widać to w przypadku personalnej polityki obecnego ministerstwa – to urzędnicy ostatecznie zatwierdzają lub zmieniają arbitralnie? zasady ocen i to oni (posiadający niemal absolutną władzę minister) decydują o tym, kto zasiada w gremiach decyzyjnych, które ustalają zasady ilościowej oceny

Ta reakcja sprowokowała mnie, aby odpowiedzieć nieco szerzej. Nastąpiło bowiem nieporozumienie. Z mojej winy, ponieważ niewłaściwie użyłem w tym fragmencie słowa „ewaluacja”, które naturalnie skojarzyło się czytelnikowi z dzisiejszą „punktozą”.

Bez wątplenia właściwszym słowem byłaby „ocena” i tak właśnie rozumiałem moją wypowiedź. Na swoje usprawiedliwienie dodam, że nigdzie nie napisałem, że ewaluacja ma polegać na liczeniu punktów, ani zastępowaniu oceny jakościowej ilościową.

Przecież ocena przez „autorytety” to też ewaluacja, tylko przeprowadzona inną metodą, zwaną zazwyczaj „peer review” (o której też wspominałem jako jednej z możliwości). Ja też tęsknię do czasów mojej młodości, gdy byliśmy oceniani przez ludzi, których wszyscy szanowaliśmy, i których werdykt nie podlegał dyskusji. I chętnie bym do nich wrócił (to oczywiście tylko zwrot retoryczny, bo już od dawna żadnej

ewaluacji nie podlegam). Są jednak dwa problemy. Rozważmy je po kolei.

Po pierwsze, nie jest jasne, czy rzeczywiście znacząca większość humanistów byłaby zdecydowana poprzeć taki system. Wymagałoby to bowiem okazania dużej dozy zaufania nielicznej grupie ludzi, obdarzonych wielką władzą i odpowiedzialnością. W sytuacji generalnego deficytu zaufania, który nie omija również sfer akademickich, jest to zapewne niełatwe do osiągnięcia.

Doświadczyłem tego osobiście, gdy jakiś czas temu zaproponowałem na łamach Forum Akademickiego, aby nieznaczna część budżetu nauki przeznaczyć do dyspozycji pewniej, nielicznej, grupy wybitnych autorytetów, aby mogli ją rozdysponować według własnego uznania na projekty, które uważają za najbardziej obiecujące. Propozycja ta wywołała wiele złośliwych komentarzy o gerontokracji, chowie wsobnym, kumoterstwie i niemal mafijnej organizacji nauki, która nie pozwala rozwijać się młodym talentom. Przekonałem się wtedy, że zdobycie zaufania, zwłaszcza młodych ludzi, będzie bardzo trudne.

Po drugie, nie wiadomo jak te potrzebne autorytety ustalać. Najlepiej byłoby liczyć na naturalny proces ich wyłaniania, ale nie wiem, jak nadać temu procesowi charakter formalny, konieczny w relacjach z państwową administracją. Zapewne nie chcielibyśmy, aby władze resortu same dobierały sobie takie „autorytety”.

Ewentualnie można pomyśleć o wyborach, podobnie jak to ma miejsce w przypadku Rady Doskonałości Naukowej. Osobiście wątpię jednak, aby spowodowało to mniej krytyki niż wywołuje dzisiaj działalność RDN zwłaszcza, że zadanie takiej „Rady Oceniającej” byłoby chyba jeszcze trudniejsze.

Wreszcie, nawet po uzgodnieniu tych problemów, pozostaje opracowanie praktycznego sposobu wprowadzenia w życie takiego systemu „peer review”. Nie jest wszak jasne jak go zorganizować i jak finansować. Wymaga to również uzyskania porozumienia przynajmniej dużej większości zainteresowanych. Inaczej może okazać się, że liczba niezadowolonych będzie jeszcze większa niż dziś.

Nasz czytelnik ma rację pisząc, że obecna sytuacja wcale nie przeszkadza ministrowi i jego współpracownikom arbitralnie ustalać zasady i w rezultacie przyznawać dotacje „po uważaniu”. Z tym się naturalnie zgadzam, tyle że to raczej szersza kwestia, dotycząca metod sprawowania władzy, a więc charakteru polityki państwa. Wymagałaby ona osobnej dyskusji, na którą nie ma miejsca w tym tekście. Dodam jednak, że całkowite odejście od ocen wewnątrz środowiska naukowego (czyli ich likwidacja, czego domagają się przeciwnicy „ewaluacji”) znakomicie ułatwi samowolę urzędniczą, bo nikt nawet nie będzie musiał się z niej tłumaczyć.

Bronię więc tezy, że konieczne jest opracowanie rozsądnych zasad oceny wyników naukowych i to takich, które byłyby do zaakceptowania przez większość zainteresowanych. Mam nadzieję, że nie jest to kwadratura koła.

Podsumowując, nie będzie łatwo wrócić do „starych dobrych czasów”.

Co nie zwalnia nas jednak od poszukiwania lepszych metod oceny wyników naukowych.

ANDRZEJ BIAŁAS

PAUza Akademicka – www.pauza.krakow.pl – tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności i środowiska naukowego.

Rada Redakcyjna: Magdalena Bajer, Andrzej Białas, Janusz Limon, Ewa Lipska, Piotr Sztompka, Marta Wyka, Jakub Zakrzewski.

Redakcja: Andrzej Białas – redaktor naczelny; Andrzej Borowski, Andrzej M. Kobos, Piotr Malecki, Marian Nowy – redaktorzy; Adam Korpak, Krzysztof Skórczewski – grafika; Ryszard Otręba – „Galeria PAUzy”; Anna Michalewicz – dyrektor administracyjny; Witold Brzostowski, Monika Mentel – fotokład; Wydawnictwo PAU – konsultacje.

Adres do korespondencji: Polska Akademia Umiejętności, 31-016 Kraków, ul. Sławkowska 17; e-mail: pauza@pau.krakow.pl

Oczekujemy na artykuły do 6 000 znaków (ze spacjami) i ilustracje w formacie JPEG o rozdzielczości 300 dpi.

Kraków. Historyczne miasto patrzące w przyszłość

Wspaniała historia, cenne zabytki, wysokiej klasy uczelnie, bogata oferta kulturalna, dobre restauracje i miła atmosfera to cenny kapitał dla rozwoju miasta. W Krakowie to działa. W roku 2021, jeszcze ciągle pandemicznym, miasto odwiedziło ponad 11 milionów osób, w tym prawie milion turystów zagranicznych. Magnes Krakowa silnie działa także w innej płaszczyźnie. Dwa-dzieścia trzy krakowskie uczelnie zatrudniają 12 tysięcy pracowników naukowych i kształcą 130 tysięcy studentów, w tym 8 tysięcy obcokrajowców. Corocznie 34 tysiące młodych ludzi odbiera dyplomy absolwentów studiów wyższych.

Posiadając powyższe zasoby i wskaźniki, Kraków traktuje je jako bazę do stworzenia miasta nowoczesnego, rozwijającego się zgodnie z wyzwaniem XXI wieku. Od lat funkcjonują struktury i pogramy zmierzające do przekucia pozycji naukowej Krakowa na sprawnie działający mechanizm rozwoju miasta. Wystarczy wspomnieć Krakowski Ośrodek Naukowo-Akademicki (KONA), integrujący pod egidą Urzędu Miasta krakowskie uczelnie i inne instytucje naukowe, czy program Krakowskie Konferencje Naukowe, mający na celu dofinansowanie najważniejszych spotkań naukowych, z preferencją dla tych międzynarodowych. W roku 2021 roku odbyło się 60 wydarzeń, w których udział wzięło ponad 12 tys. uczestników z kraju i ze świata. Wydział do spraw Przedsiębiorczości i Innowacji Urzędu Miasta dba o koordynację działań w trójkącie nauka – biznes – samorząd. Stworzenie tego rodzaju synergii przynosi wymierne rezultaty, a Kraków wyraźnie znajduje się na ścieżce przekształcania się w silny ośrodek rozwoju o charakterze innowacyjnym. Z 50 tysiącami pracowników IT i 9 tysiącami studentów kierunków informatycznych Kraków został uznany za najbardziej przyjazne biznesowi miasto w Polsce, a w ogólnoświatowym

[sic!] rankingu Super Miast według Tholons Global Innovation Index uplasował się na 20. pozycji. Chodzi zresztą nie tylko o szeroko rozumiany sektor informatyczny, ale i o liczne inicjatywy innowacyjne w różnych dziedzinach, jak udostępnianie wartościowych dzieł muzycznych, różne aspekty organizacji turystyki.

Miasto piękne, miasto przyjazne, miasto oferujące interesujące ścieżki kariery. Doceniają to liczni cudzoziemcy osiedlający się w Krakowie. W roku 2020 było ich prawie 35 tysięcy, w większości ludzi młodych i dobrze wykształconych. Oczywiście, napływ uchodźców z Ukrainy w roku 2022 zupełnie zmienił te statystyki. Niemniej wiadomo, że wielu z nich właśnie w Krakowie czuje się dobrze.

Nie zapomina się o potrzebach stałych mieszkańców miasta. Pomimo ogromnych trudności w dziedzinie kształtowania gospodarki przestrzennej, mamy świetnie funkcjonującą komunikację publiczną. Woda z krakowskich wodociągów uchodzi za jedną z najlepszych na świecie. Niezależnie od nierozwiązywalnego, zdawałoby się, konfliktu między interesami kierowców i pieszych, stare centrum miasta jest już w znacznym stopniu wolne od ruchu kołowego.

Czas na ostateczne odrzucenie wizerunku Krakowa jako miasta z nadzieją spoglądającego w przeszłość. Znaczenie nauki i innowacyjności dla lokalnego rozwoju jest głęboko utrwalone w krakowskiej opinii. Jakie inne miasto w Polsce przez cztery kadencje wybierało profesora na swego prezydenta?

Polska Akademia Umiejętności jest instytucją jednocześnie krakowską, ogólnopolską i międzynarodową. Służy nauce w jej najbardziej powszechnym znaczeniu, ale jednocześnie jest dumna z przyczyniania się do budowy potencjału miasta, z którym jest związana.



Fot. Piotr Krochmal

Kraków – warto wiedzieć

Ostatnie dni wystawy „Lelewel. Rytownik Polski”
w Muzeum Narodowym w Krakowie

Ekspozycja zaskakuje tych, którzy kojarzą Joachima Lelewela wyłącznie z nauką, dydaktyką zaangażowaniem na arenie politycznej swoich czasów. Amatorska sztycharska twórczość Rytownika Polskiego, jej idea i kierunki, pokazana jest w sposób oryginalny - jako przegląd zachowanych graficznych płyt z jego dorobku, nad którymi krakowskie muzeum sprawuje pieczęć od 1897 roku. Nabyte od Wiesławy Jadwigi Russockiej, córki Prota Lelewela, bratanicy Joachima, obecnie po raz pierwszy prezentowane są szerokiej Publiczności. Dziś nieco zapomnianą sylwetkę Lelewela, człowieka wielu zasług, na wystawie przybliżają dzieła malarskie i gra-

ficzne przywołujące pamięć o miejscach i ludziach, z którymi był związany, licznie zgromadzone a mało znane jego wizerunki, jego prace plastyczne nie wyłącznie związane z graficzną działalnością ilustratorską i nieliczne zachowane po nim pamiątki - przedmioty osobistego użytku. Tak szeroką prezentację Muzeum Narodowe zawdzięcza życzliwej współpracy wielu instytucji krajowych i zagranicznych oraz osób prywatnych. Nie mogło na wystawie zabraknąć dzieł z kolekcji Biblioteki Naukowej PAU i PAN w Krakowie, której Dyrekcji i Pracownikom w tym miejscu autorzy pokazu składają wielkie podziękowania.

Zapraszamy do odwiedzenia ekspozycji w Sukiennicach, w sali wystaw zmiennych „Malarnia”, tylko do 2 października 2022 r.

